

Elżbieta Kiślak

Wspomnienie o Marii Żmigrodzkiej (4 listopada 1922 - 21 lutego 2000)

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 93/3, 263-266

2002

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIE O MARII ŻMIGRODZKIEJ
(4 listopada 1922 – 21 lutego 2000)

W połowie lutego 1977 zjawiła się w Krakowie profesor Maria Żmigrodzka. Spóźniłam się z dziesięć minut na jej pierwszy wykład z romantyzmu, bo zdawałam przesunięty w sesji zimowej egzamin; czekałam więc przeszło pół godziny na przerwę, żeby wejść do audytorium Collegium Witkowskiego. Amfiteatralna sala była pełna; jak zwykle, studentów ciekawiła nowa indywidualność. Poza tym Profesor reprezentowała poniekąd prestiż Instytutu Badań Literackich oraz ibłowskich badań nad romantyzmem; w połowie lat siedemdziesiątych, w gierkowskiej wersji Królestwa Polskiego, szanujący się student polonistyki musiał znać *Gończkę romantyczną*, *Próbkę zdrowego rozumu*, *Sławianie, my lubim sielanki...* czy *Aleksander Fredro jest w złym humorze*. Wkrótce odkryłam *Problemy polskiego romantyzmu*, które redagowała. Później dowiedziałam się, że właśnie ona kieruje w IBL Pracownią Literatury Romantycznej; była szefem tego zespołu przez długie lata, od 1953 aż do emerytury.

Podczas wykładu czytała z piętrzącego się przed nią maszynopisu; potem objaśniono mi, że to fragmenty książki napisanej wspólnie z Marią Janion, wówczas jeszcze nie opublikowanego tomu *Romantyzm i historia*, o którym opowiadała wtedy, kiedy pokutowałam pod drzwiami. W pewnej chwili, nie przerywając wywodu, zręcznie, z elegancją wyswobodziła się z narzuconego na ramiona futra: ogarnawszy nim oparcie krzesła, zsunęła z siebie. Było w tym geście nie tylko doświadczenie wielu lat publicznych występów, także inteligencja, wyrafinowanie i dyskrecja, bardzo arystokratyczne wyzwanie „*noli me tangere*”. Już wiedziałam, że mam do czynienia z niezwykłą indywidualnością. Mój los był przesądzony, jak u Orwella los Winstona, kiedy obserwował O'Briena poprawiającego okulary.

W miarę zbliżania się letniej sesji stopniowo z wykładu ubywało słuchaczy – naturalny proces na zajęciach, z których zaliczenie nie jest wymagane. W maju pojawiało się już tylko około 10 osób, przeważnie jej przyszli magistranci. Przenieśliśmy się do mniejszej sali. Przerwę Profesor skwapliwie wykorzystywała na papierosa, przechadzając się po korytarzu. Zaczęłam się na nią zasadać w zakamarkach kolegium. Wyrozumiała traktowała fajerwerki mojej młodzieńczej erudycji, pewnie dlatego, że spragniona była kontaktów ze studentami po dłuższej przerwie w dydaktyce: w 1968 roku usunięto ją z Lublina (żeby zakończyć rozpoczęte magisteria, przez następny rok prowadziła seminarium w ramach prac zleconych, dojeżdżając na własny koszt).

Uniwersytet Jagielloński był jej kolejnym uniwersytetem. Pierwszy to konspiracyjny Uniwersytet Ziemi Zachodnich, gdzie rozpoczęła studia polonistyczne

po maturze zdanej na tajnych kompletach w roku 1940. Zajęcia prowadził tu m.in. Zygmunt Szweykowski, autor pracy o powieściach Henryka Rzewuskiego; jego okupacyjna studentka po latach podejmie tę samą tematykę. Równolegle z polonistyką studiowała na tajnym Uniwersytecie Warszawskim prawo, kontynuując niejako tradycję rodzinną (adwokatem był ojciec, a jedna z ciotek pierwszą polską kobietą, która weszła do adwokatury). Po wojnie, jak większość mieszkańców zrujnowanej stolicy, trafiła do Łodzi i tam ostatecznie wybrała studia polonistyczne. Na Uniwersytecie Łódzkim uzyskała magisterium w roku 1948; już wtedy zajmowała się Orzeszkową, której potem poświęciła świetną książkę. Niebawem znalazła się w grupie, z którą Stefan Żółkiewski rozpoczął działalność IBL; po powrocie do Warszawy była też asystentką na UW. Po otrzymaniu docentury pracowała od 1961 roku na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. W jej życiorysie znajdują się jeszcze dwie wszechnice: w 1983 wykładała w Clermont-Ferrand – kochała Francję i z nostalgią wspominała swój półtoraroczny pobyt w Paryżu po październikowej odwilży; właściwie do tej listy powinno się też dopisać Sorbonę, gdzie otrzymała indeks jako wolna słuchaczka. Ostatni, ósmy, to Uniwersytet w Białymstoku, gdzie raz tylko zdążyła się spotkać z magistrantami przed swoją chorobą. W gruncie rzeczy na Uniwersytecie Jagiellońskim uczyła najdłużej, aż do 1991 roku, prowadząc także zajęcia na seminarium doktoranckim. Lubiła uczyć, co więcej, pamiętała swoich studentów. Cierpliwie znosiła potworne gafy, czasami tylko nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Do legendy przeszedł egzamin u niej na zakończenie jej pierwszego krakowskiego semestru. Kiedy studenci zorientowali się, że nikogo nie oblewa – istotnie, zwykle robiła delikwentowi coś w rodzaju wykładu, często blisko godzinę (rekord podobno wynosił dwie godziny) czekając na jakąś rozsądną odpowiedź, którą można byłoby uznać za dostateczną – ustawili się w długiej kolejce. Przepytywanie przeciągnęło się do późnej nocy, więc musiała skorzystać z zaimprovizowanego noclegu w akademiku, w warunkach bardzo zgrzebnych.

Właśnie tamtej wiosny w Krakowie wybuchła sprawa zabójstwa Stanisława Pyjasa i powstał Studencki Komitet Samoobrony. Po części te właśnie wydarzenia i ich następstwa ukształtowały moją świadomość społeczną, ale równie wiele zawdzięczam też profesor Żmigrodzkiej. Pamiętam, jak bodaj na pierwszym seminarium, kiedy czytaliśmy *Kordiana*, niewykluczone, że przy kwestii legitymizacji władzy, wspomniała o niezwyklej autorytecie, jaki miała pieczęć Rządu Tymczasowego w powstaniu styczniowym. Stanowiło to zarówno subtelną, jak czytelną aluzję do innego rządu, który stracił kontakt ze społeczeństwem. Jej dygresje, rzucane mimochodem krótkie komentarze, czasem nawiązujące do rzeczy aktualnych, miały za punkt odniesienia obowiązek społeczny, odpowiedzialność inteligencji za ojczyznę. Była córką oficera II Brygady (stracił płuco w wojnie polsko-sowieckiej) i zawsze pozostała jej bliska tradycja legionowa, ta socjalistyczna, stroniąca od bogoojczyźnianych frazesów, wolnomyślicielska. Dzieciństwo spędziła w kresowych garnizonach, a w Warszawie zamieszkała po śmierci ojca. Generacja jej, pierwsze pokolenie niepodległej Polski, znała dobrze cenę patriotyzmu. We wrześniu 1939 Żmigrodzka jako wolontariuszka opatrywała rannych żołnierzy w szpitalu wolskim. W szeregach AK znalazła się w Kobięcych Patrolach Minerskich warszawskiego okręgu Kedywu. 1 sierpnia obchodziliśmy razem na Powązkach groby jej koleżanek z oddziału, tradycyjnie kończąc turę na

grobie autora *Pamiętnika z powstania warszawskiego*. Oddział minerek nie uczestniczył w walkach, skierowany w pierwszym dniu powstania pod Warszawę.

O niezwyklej umysłowości Marii Żmigrodzkiej zdecydowała przenikliwa, krytyczna inteligencja, połączona z ogromną erudycją, która ogarniała zarówno literaturę polską, jak historię. Podczas zajęć trzeba było sporego wysiłku, by śledzić jej fascynujący tok myślenia, niesłychanie abstrakcyjnego, zaprawionego w dialektyce, podkreślającego rozmaite uwikłania i sprzeczności spraw, według



Maria Żmigrodzka

podręczników – oczywistych i prostych; ukazując sedno problemu często ilustrowała ogólne prawo barwnym szczegółem czy raczej w szczególe dostrzegała odbicie ogólnej zasady. Ostatnią instancję, weryfikującą interpretację, stanowiła jednak rzeczywistość doświadczenia. Kiedy na seminarium podczas dyskusji nad bajką *O Janku, co psom szły buty z Kordiana* ktoś wygłosił tezę o absurdalności wymienionego w tytule zajęcia, zaznaczyła, że pierwsza by się zgłosiła do takiego rzemieślnika... Miała cudowne poczucie humoru, na pograniczu sławetnego angielskiego „wit”, czyli konceptu, oraz ironii, iskrzącej się – opalizującej, że użyję jednego z jej ulubionych określeń – głębszym znaczeniem. Cechowała ją rzadka kultura słowa, podbudowana wyjątkowym słuchem językowym, zarówno na prozę, jak poezję. Jej lektury były wszechstronne, nie lekceważyła najnowszej produkcji literackiej. Zawsze chętnie też sięgała po Agathę Christie, chociaż nade wszystko lubiła Simenona. Mówiła płynnie po francusku i po niemiecku, znała angielski, radziła sobie z włoskim i hiszpańskim. Jej godna podziwu, znakomita pamięć zawierała bogate złoża cytatów (miałam wrażenie, że Słowackiego potrafi przytaczać całymi stronicami), obrazów, postaci, gestów, głosów i tonów. Za pretekst do jej usunięcia z UMCS posłużyła dokładna relacja na wykładach z Dejmowskiej inscenizacji *Dziadów*.

Pozostawiła po sobie znaczny dorobek – co prawda, w dużej części rozproszony w tomach zbiorowych; przygotowywany w wydawnictwie IBL obszerny, dwutomowy wybór pism Marii Żmigrodzkiej nie pomieści ich wszystkich. Jej rozprawy dotyczyły wczesnego i późnego romantyzmu, Orzeszkowej, XIX-wiecznej prozy krajowej, po której rzadko odwiedzanych bądź zapomnianych obszarach poruszała się ze swobodą, a także europejskiej estetyki romantycznej, teorii literatury oraz jej ulubionego wśród niemieckich pisarzy Grassa. Nikt jak ona nie zinterpretuje tak Słowackiego, zwłaszcza *Samuela Zborowskiego*, naszpikowanego filologicznymi trudnościami i pełnego sprzeczności. Nieoszacowana pozostanie pomoc, jaką nosła przyjaciołom, nieoszacowany też ów nieprawdopodobny wysiłek, jaki wkładała w prace studentów czy doktorantów. Była powściągliwa, skromna i nigdy nie dbała o *publicity*. Honor wyznaczał dla niej zawsze granicę kompromisu. Choć jako prawdziwa dama gust miała wybredny, jeżeli chodzi o literaturę, rzeczy i ludzi, to z taką samą uwagą, atencją, niezmienną uprzejmością i troskliwą życzliwością traktowała wszystkich, których spotykała. Kochała swoje psy, rozpieszczała swoje koty. Miałam ogromne szczęście być studentką, potem magistrantką i doktorantką profesor Żmigrodzkiej. Jestem pewna, że w grupie jej uczniów wszyscy odczuwają podobną satysfakcję.

Zwykle składając jej życzenia urodzinowe nawiązywałam do pierwszego zdania *Pamiętek Soplicy*: „Było to czwartego listopada, w sam dzień świętego Karola...” Z fragmentami wiersza Audena *Pamięci W. B. Yeatsa* (w przekładzie Barańczaka) kojarzy mi się dzień jej śmierci, „mroczny i mroźny”: znikła „w martwym punkcie środka zimy”. Zaraz potem przychodzi mi na myśl Miłosz w utworze, który jest dla mnie współczesną wersją Mickiewiczowskiej *Romantyczności*: „Bo Twoja obecność / Tak dla mnie mocna, że zawsze prawdziwa...”

Elżbieta Kiślak